

Mój Śląsk, czyli sztuka zadziwień

80 kilometrów od inności

Mój pierwszy kontakt ze Śląskiem związany był z projekcją obrazu Sól ziemi czarnej, Kazimierza Kutza. Film ten, poruszający, pogłębił dziwne wrażenie, że 80 kilometrów od Częstochowy znajduje się świat kompletnie inny, umorusany węglem, z osobliwymi mowiącymi i ubranymi ludźmi. Co tu dużo mówić – intrygujący i z innej planety. Podręczniki historii z tamtych czasów opisywały bohaterów i zdarzenia Królestwa Kongresowego, a powstania śląskie były zagadnieniami kompletnie marginalnymi lub nie było ich wcale. Wedle naszych handbooków Śląsk wrócił do Macierzy po latach zaborów i był częścią odrodzonej Rzeczypospolitej, a następnie socjalistycznego państwa. Trochę więcej dowiadaliśmy się od naszych nauczycielek historii i polskiego, z lwowskimi korzeniami, rozumiejącymi światy kresowe najlepiej. Ale to naprawdę niewiele. Z tą beznadziejną wiedzą stawiałem się w 1974 roku w Katowicach w Uniwersytecie Śląskim, przed surową komisją egzaminacyjną.

Uroki murarskiej brygady

Szok nastąpił dopiero podczas słynnych SPRów, czyli Studenckich Praktyk Robotniczych. Zostałem przydzielony jako pomocnik murarza do zespołu pracującego, a jakże, w Sosnowcu, przy ówczesnej ulicy Bando 10. Majster i paru innych z ekipy to Ślązacy. Z radością korzystali z pojęć, zwrotów, których nie rozumiałem, choć bardzo się starałem dobrze lasować wapno i przygotowywać zaprawę. No i byłem wynieś, przynieś, pozamiataj. Ale pamiętałem porządek na budowie, czyste narzędzia, schludność Majstra i jego twardy, ostry język. Wtedy też zrozumiałem, że jestem gorolem, a nie górą, jak wcześniej mi się wydawało, a dokładniej jego sortem – medalikorzem. Gorszy zarezerwowany był dla mieszkańców stołecznego miasta Zagłębia, żeby użyć tutaj eleganckiej terminologii. Piorunujące wrażenie zrobiła na mnie pierwsza wizyta na grubie-dobrodziejce. Jako socjologiczny praktykant trafiłem do kopalni Jankowice i to nie tylko do przestrzeni biurowych. Nie zapomnę łaźni i setki nagich mężczyzn, obłoków pary, zapachu potu, śmiechów i żartów. I jeszcze tych ubrań, do których doczepiono buty, nieporównywalne z miejskimi pantoflami. A wszystko to gdzieś hen, pod sufitem, na łańcuszkach.

Achim i halba

Takie zadziwienia przeżywałem podczas całych studiów i w codziennym życiu: jakieś kosmiczne imiona, typu Horst, Marcel, Joachim, Ernest, Wilhelm, Gertruda i na dokładkę nazwiska Bieniok, Warczok czy Biesok. Dziwne obyczajne biesiadne z halbą i piwem, ale i rzetelność w przygotowaniu do zajęć, solidność zamiast fantazji i intelektualnej odwagi. Z zaskoczeniem słuchałem homilii biskupa Herberta Bednorza, mówionej językiem prostym, robotniczym i dosadnym, bez żadnej niemal metaforyki i odniesień filozoficznych. Nie to co wyrefinowane słowa wizytantów jasnogórskich. Wtedy też po raz pierwszy zetknąłem się z nazwiskiem i osobą Kazimierza Świtonia, twórcy wolnych związków zawodowych. Nie miałem jeszcze wówczas wyobrażenia jaką rolę mogłyby one pełnić na dostatnym, nieporównywalnie zamożniejszym niż Częstochowa, Śląsku? K. Świtonia zobaczyłem po raz pierwszy w pobliżu Katedry, szarpanego przez milicjantów. To też wydało się zastanawiające. Wprawdzie do dzisiaj pamiętam oznakowane wozy Milicji Obywatelskiej ułokowane przy wyjściach Jasnej Góry, ale bezpośredniej interwencji w obrębie świątyni i klasztoru sobie nie przypominam.

Józefa Krupińskiego rapsod żałobny

Ważnym dniem w moim poznawaniu Śląska był niewielki tomik poezji Józefa Krupińskiego

Marsz żałobny wydany w połowie lat osiemdziesiątych przeszłego wieku. Kupiłem go, bo przeczytałem, że Autor, o którego istnieniu pojęcia nie miałem, pracuje jako górnik w kopalni Ziemowit w Łędzinach. Hajer i poesis – zestawienie niedorzeczne, nierealistyczne. Ale już po lekturze paru wierszy czułem, że byłem w całkowitym błędzie. Ta prosta poezja, pełna autentyzmu, a jednocześnie metafizyczna i konfesyjna, była powalająca. Gdyby Zbigniew Herbert mógł ją przeczytać powiedziałby zapewne: Niestety mój drogi Przyjacielu, jest Pan poetą i nic na to nie można poradzić. Kto wie czy w Winnicy Pańskiej Obaj nie prowadzą cichych dialogów o stopie, metonimii, przetrutni czy elipsie. W grudniu 2008 roku dobry los sprawił, że z rozmowy z Andrzejem Dziubą, dzisiaj prezydentem Tychów, ongiś współtowarzyszem pracy Krupińskiego, dowiedziałem się o delikatności Poety, jego nieprzystosowaniu do kopalnianych, szorstkich warunków. Pracował na kopalni, ale górnikiem nie był. Wrażliwość skazała go na poezję.

Dżdżu krople padają...

Już w czasie studiów było jasne, że sileski świat wcale nie jest dwudzielny: my - gorole i oni - hanysy. Wiedziałem bowiem o krojczokach, bastardach, przystacach, pamponiach, przyżenionych, cysorokach, pniokach, krzokach czy ptokach. Z zaskoczeniem dowadywałem się o werbusach i wulchazokach, przyjeżdżających na Śląsk w poszukiwaniu mieszkania, lepszego życia i przygody. Poznałem ich wkrótce bezpośrednio, bo po skończeniu studiów otrzymałem mieszkanie spółdzielcze w Tychach, miście stanowiącym mroczny obiekt pożądania, zwłaszcza po opowieściach Ryżego. Przywołałem jego pyszne stories natychmiast po tym jak wysiadłem na stacji Tychów-Żwiaków i wkroczyłem w czeluść osiedla Regina (R), tonąc w błocie, przemierzając nieoświetloną przestrzeń, zabudowaną wielkopłytowymi szafami, bez wyrazu, pozbawioną elementarnej infrastruktury miejskiej. Ale przecież trafiłem do pierwszego własnego kawałka podłogi i nie posiadałem się ze szczęścia. Tej eudajmonii, gdyby użyć tutaj określenia starogreckiego, nie zakłóciły krzywe ściany, nieszczelne przewody, niedomykające się drzwi, ani nawet pierwszy deszcz, który nie wiedzieć czemu przebrnął przez dach, strop i przywitał się z sufitem wszystkich moich pomieszczeń, których zresztą nie było tak wiele.

Groby i kotwice

Mieszkanie i groby to wielkie kotwice przypisania do miejsca. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że trzy kolejne dekady życia i pewnie więcej spędzę w Tychach, nowym mieście socjalistycznym, jak je ongiś nazywano. Rozpocząłem pierwsze profesjonalne badania nad Śląskiem, choć najpierw, z wielu zresztą powodów, pochłonęła mnie Afryka. Wstrząsem był nieskrępowany dostęp do regionalnych statystyk, z których wyłaniał się obraz poindustrialnych spustoszeń ekologicznych, społecznych i ekonomicznych. Rozpoczął się czas rozwoju przez upadek i okres pożegnania wielu kopalni i hut. Górnicy wydobywali ostatni kęs węgla, wywozili świętą Barbarę i w kondukcje żałobnym, czasem w towarzystwie biskupa, wędrowali do fary. Nie wszyscy uczestnicy tego ostatniego pożegnania mieli świadomość, że upadek kopalni, to nie tylko likwidacja miejsc pracy, ale przede wszystkim śmierć instytucji społecznego skupienia, organizatorki życia mieszkańców i ich rodzin, sponsora zdarzeń kulturalnych i gwaranta egzystencjalnego spokoju. Już wtedy było jasne, że jeśli lokalni liderzy nie zbudują alternatywnej wspólnoty gospodarowania, to powstała próżnia czy niszę zajmą zjawiska o patologicznym charakterze. Było też oczywiste, że losy gminy zależą od jej liderów, ich postaw



i wyobraźni, misyjności lub, przeciwnie, egocentryzmu.

Blaga, ale jak pomaga

W odczytywaniu Śląska pomógł mi wielki blagier, ale i niezwykły artysta Franciszek Starowieyski. Kiedy przejrzałem Jego uwagi o poprzemysłowych hałdach, cuchnących przecież w rzeczywistości, traktowanych przez jedyną jak zabytkowe katedry, filizanki z epoki Kang-Szi, było oczywiste, że kluczem do zrozumienia tego regionu jest wrażliwość, nie wyuczona, ale dana przez Prowidencję. Od tamtego czasu próbuję, często nieudolnie, dostrzec uroki w miejscach uznawanych powszechnie za piękne inaczej, w takich choćby jak dzielnice wykluczenia w Lipinach, Konstantynowie, Załężu czy Bogucicach. Prawdziwy wrażliwiec dostrzeże niepowtarzalne miejsca w przestrzeniach blokowisk, które, wbrew naturze człowieka, nie są małe. Co gorsza ich ostre, a przy tym sześcienne kształty odpychają i przytłaczają.

Jo je stond, ale i stamtąd...

Jaki jest zatem ten mój Śląsk? Zadziwiający i wielobarwny, irytujący i kojący, prometejski i egocentryczny, odpychający i gościnny, europejski i zaściankowy, mityczny i dosadny, elitarny i plebejski, zamożny i wciąż zaludniony

przez domy, które nigdy nie były w teatrze. Niejednoznaczny. Kiedy zatem Andrzej Stefański zaproponował mi, żebym wziął udział w przygotowaniu pierwszego audiobooka, My som Stond, o tym mozaikowym świecie, nie wahałem się ani chwili. Miałem nadzieję wyjaśnić wiele tożsamościowych zagadek. Nie wyjaśniłem, upewniłem się jedynie, że jestem stond, ale i stamtąd, gdzie pozostały groby moich bliskich. Ot, taki Homo duplex, człowiek podwójnego zakorzenienia.

My som Stond. Przygotowali: Andrzej Stefański, Anna Sekudewicz, Anna Dudzińska, Anna Musialik, Jacek Kurkowski. Wydawnictwo Fabryczna 23, Polskie Radio Katowice. Katowice: grudzień 2008.

Marek S. Szczepański

